Kurjer literacko naukowy

WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 29

Teatr jezuicki w Polsce

Świeżo pojawiła się praca p. Ludwika Simona: Dykcjonarz Teatrów polskich, czynnych od czasów najdawniejszych do roku 1863.

Z dzieła tego, opracowanego nadwyraz gruntownie i wyczerpująco, podajemy poniżej fragment dotyczący działalności teatrów jezuickich w Polsce. *Redakcja.*

W dawnej Polsce po skromnych zawiązkach średniowiecznych (Kraków) w wieku XVI do wystąpienia Jezuitów istniało zaledwie kilka mało wprowadzonych typów widowisk. Kościół katolicki (wzgl. kler, zakony z współpracą szkół) wystawiał dramaty religijne, nawiązujące do tradycji średniowiecznej. Były to misterja, jak djalog częstochowski ks. Mikołaja z Wilkowiecka (po r. 1560), przeznaczony do odegrania w kościele, bez liczący się z możliwością inscenizacji pod gołem niebem; były to także sztuki o świętych (np. o Janie), a prawdopodobnie także djalogi na Boże narodzenie i Trzech Króli. Dalej zdarzały się przedstawienia łacińskie w postępowych szkołach renesansowych (Kraków, Lwów), wreszcie w domach prywatnych były odprawiane komedje przez żaków, zaś na dworze królewskim zjawiały się czasem kompanje wędrowne.

Życie teatralne, ogniskujące się dotąd w Krakowie, ożywiło się znacznie, gdy Jezuici wraz ze szkołami poczęli uruchamiać teatry szkolne. Niektóre sceny powstały w XVI wieku, mianowicie pułtuska, poznańska, wileńska i kaliska. W w. XVII i XVIII przybyła ich masa z lubelską, lwowską i warszawską na czele; ogółem na podstawie druków i rękopisów liczymy ich 46.

Pod wpływem Jezuitów, którzy prowadzili teatr szkolny przez dwa wieki (1571—1773) aż do kasaty Zakonu, widowiska sceniczne organizowały inne zakłady, zakonne i świeckie, katolickie i dysydenckie.

Teatr jezuicki, służąc celom wychowawczym w duchu ideologji katolickiej, w pierwszym okresie prowadził widowiska dydaktyczne bez ról kobiecych w kolegjach lub poza kolegjami, przyczem o ile pierwsze były naogół łacińskie, o tyle drugie zrazu naogół polskie, a dopiero z czasem (od poł. XVII w.) naogół łacińskie. Widowiska w kolegjach odbywały się w różnych porach roku, na otwarcie i zamknięcie nauk, w Wielki Piątek, Boże Ciało, w karnawale i mięsopuście, w dni świętych i w Boże Narodzenie, w różne uroczystości szkolne, na cześć panującego, protektora lub dostojnika kościelnego itd. Repertuar, jeśli idzie o rodzaje dramatów, był dość urozmaicony i obejmował poza drobnemi djalogami okolicznościowemi dramaty biblijne i o świętych, o bohaterach starożytnych i nowożytnych, polskich, litewskich i obcych. Zdarzały się też dramaty mitologiczne i alegoryczne. Pozatem w karnawale i mięsopuście grywano tragikomedje, a także komedje, tylko rzadziej, głównie na przełomie XVI i XVII wieku. Repertuar ten w miarę rozwoju baroku tonął coraz bardziej w alegorji, widowiskowości i panegiryźmie przy zastraszająco niskim poziomie artystycznym profesorskiej produkcji.

Programowe przedstawienia jezuickie dla polskiej kultury teatralnej nie miały wielkiego znaczenia, a nas interesują głównie dzięki temu, że w międzyaktach ku rozweseleniu widzów zawierały często małe scenki komiczne w języku polskim, t. zw. intermedja, w których dochodził do głosu element ludowy.

* *
*

Przedstawienia jezuickie poza kolegjum, po kościołach i na rynkach w dziejach teatru staropolskiego zajmują miejsce wybitniejsze od programowych w obrębie kolegjów, gdyż bardziej stykały się ze społeczeństwem i długi czas posługiwały się polszczyzną. Miało to miejsce zwłaszcza na przełomie XVI i XVII wieku, kiedy przepisy „Ratio studiorum", zalecające łacinę, dopiero wprowadzano w życie, a Jezuitom zależało na reklamie. Teatr jezuicki w Boże Ciało i dzień Wielkopiątkowy wskrzesił na swój sposób tradycje widowisk średniowiecznych, jednak postaci Chrystusa nie wprowadzał naogół na scenę i w związku z tem, jeśli pominąć nieliczne wyjątki, nie posiadał właściwych misterjów. W Boże Ciało lub w Wielki Piątek grano sztuki bądź alegoryczne, bądź biblijne i historyczne, w których los bohatera miał pewne podobieństwo do losu Chrystusa. Poza tem należy nadmienić, że widowiska były niekiedy połączone z procesjami (np. w Wilnie w XV wieku), zaś żacy urządzali czasem przedstawienia po domach prywatnych. Były one np. popularne w Poznaniu w początku XVII wieku, a później zostały ograniczone do wędrówek z gwiazdą i odpowiednim djalogiem w okresie świąt Bożego Narodzenia. Takie widowiska oglądał jeszcze Niemcewicz w swej młodości.

Pod wpływem Jezuitów przedstawienia teatralne prowadziły inne szkoły, posługując się podobnym typem profesorskich dramatów. Szkoły poważniejsze, akademickie i pijarskie, urządzały głównie przedstawienia łacińskie w obrębie kolegjów, natomiast mniejsze szkoły parafjalne, niepodlegające rygorom wychowawczym, np. w Chełmie i Tarnowie, posługiwały się językiem polskim i po kościołach i na rynkach wystawiały chętnie dramaty pobożne z okazji Bożego Narodzenia, Wielkanocy i dni Świętych, uwzględniając w szerokim zakresie pasje i djalogi z cyklu rezurekcyjnego obok dramatów i intermedjów, pokrewnych normalnemu repertuarowi jezuickiemu.

Pierwszym teatrem, który zerwał z tradycją, był teatr Teatynów w Warszawie. Od r. 1743 na jego repertuarze znajdowały się głównie świeckie dzieła Metastasia (role kobiece, wątki erotyczne) w przekładach łacińskich ks. Portaluppi'ego, a czasem w oryginale.

Po teatrze Teatynów z rokiem 1744 zreformowany został Teatr Pijarów w Warszawie za dyrekcji Stanisława Konarskiego. I tu również odświeżono repertuar nowoczesnym dramatem obcym z rolami kobiecemi, jednak w odróżnieniu od Teatynów nie z Włoch, lecz z Francji czerpano utwory, przyczem Konarski w inowacjach poszedł jeszcze dalej, gdyż wprowadził na repertuar świeckie komedje, zaś przedstawienia zaczął odprawiać bądź w języku polskim (tragedje), bądź francuskim, wzgl. niemieckim (komedje), wykluczając raz na zawsze łacinę.

Wobec teatru Konarskiego stanowisko negatywne zajęli Jezuici, zwalczając świecki charakter widowisk pijarskich (role kobiece, wątki miłosne), jednak mimo to skorzystali z reformy b. wiele. Od r. 1746 teatr jezuicki stopniowo zaczął zastępować łacinę polszczyzną, a równocześnie na miejsce dawnych djalogów wprowadził tragedję pseudoklasyczną typu szkolnego, zapożyczoną z Francji. Do tych inowacyj dołączyły się niebawem inne. Od r. 1753 teatry jezuickie (zwłaszcza warszawski i wileński) zaczęły często wystawiać komedje, głównie przeróbki francuskich komedyj świeckich, zkolei znalazły się na repertuarze (np. wileńskim) nieznane dotąd balety, opracowane według zasad francuskiego teatru jezuickiego (Ménestrier, Le Jay), wreszcie zdarzały się niekiedy (np. w Wilnie, we Lwowie i w Warszawie) przedstawienia komedyj, nawet tragedyj, w języku francuskim.

Jak łatwo zauważyć, na kształt teatru jezuickiego w Polsce po r. 1746 poza wpływem jezuickim z zewnątrz złożył się wpływ reformy Konarskiego. Zastąpienie łaciny polszczyzną wbrew tradycji i jezuickim wzorom francuskim, wprowadzenie widowisk francuskich, wreszcie wysiłki ks. Bohomolca pod bokiem Konarskiego, by stworzyć komedję szkolną, to wszystko wskazuje niewątpliwie na wpływ pijarski.

W zakresie tragedyj teatr jezuicki wystawiał głównie dzieła oryginalne, jednak czasami także przekłady zagranicznych, łacińskich dzieł jezuickich (Le Jay, La Rue, Malapert, Porée), a nawet przeróbki tragedyj świeckich (Voltaire, Metastasio). Typ polskiej tragedji z charakterystycznym białym wierszem i intermedjami w paraleli do akcji głównej najlepiej realizowały dzieła Stanisława Jaworskiego („Jonatas", 1746) i Jana Bielskiego (m. in. „Zeyfadyn król Ormuzu", 1747) z repertuaru kaliskiego.

W zakresie komedyj najwybitniejszym autorem był ks. Franciszek Bohomolec. Dzieła jego zebrane w 5 tomach, to głównie przeróbki komedyj świeckich z wykluczeniem ról kobiecych i erotyki. Ich źródłem przedewszystkiem Molière, nadto teatr Jezuitów francuskich (Du Cerceau, Le Jay, Porée) oraz różne komedje świeckie (Plaut, Goldoni, Brueys itd.).

Zreformowany teatr jezuicki, najbujniej rozwijający się w Kaliszu, Poznaniu, Warszawie i Wilnie, wpłynął na kształtowanie się widowisk w innych szkołach, np. bazyljańskich i akademickich, przyczem, rzecz charakterystyczna, jego wpływ skrzyżował się z wpływem teatru Konarskiego na terenie prowincjonalnych scen pijarskich.

EMILE VERHAEREN.

W świat...

Zmrok ponad miastem rozsiadł się mocarnie —
lecz oto znagła ową ciemność mroczną
jak nożycami światłem krająć poczną
błyszczące w równych odstępach latarnie.

Niby relikwiarz szyby dworca płoną
wśród nocy głuchej, ciężkiej niby ołów,
a z ponad dachów i wieżyc kościołów
czarne mgły sadzy ścielą się oponą.

Zgrzytają osie — szczękają łańcuchy —
jęczą trącane brutalnie wagony —
sunie pociągów szereg nieskończony
jeden po drugim niknac w nocy głuchej

Krzyki, gwar, hałas, — smutne znaki czasem,
poprzez stłoczonych tłumów ciemnych głowy —
przystanek — sygnał — i potwór stalowy
mknie znowu dalej z zgrzytem i hałasem

To się w pustkowia pól sennych zanurzy,
to go las mroczny w głąb swój straszny wpuści —
przemknie wśród ciasnych tuneli czeluści —
aż wreszcie — morze — u kresów podróży.

Oto ze świtem już na morzu sinem
lśnią różnobarwne żagli wzdętych płachty —
płyną żaglowce, łodzie, barki jachty.
ładowne lśniącą rudą lub bursztynem.

I oto marzeń wszystkich cel ziszczony—
a w porcie fale — długie niby liany
pieszczą okrętów starych czarne ściany,
co jutro ruszą znów w dalekie strony.

I oto ciemne tunele, — wagony
duszne i ciasne — węgla zad plugawy
wszystko z pamięci nikne — wobec zjawy
tych wrót otwartych na wsze świata strony.

Przełożył Kazimierz Rychłowski

Wędrówki ptaków

Do najciekawszych zjawisk w życiu ptaków należą ich wędrówki wiosenne i jesienne, które — w naszym kraju — obserwować można niemal przez rok cały. Kiedy bowiem ciągi wiosenne zaczynają się już w lutym i trwają do maja, — to już w czerwcu pierwsze szpaki dają hasło do odlotu, a wędrówki jesien ne trwają aż do listopada.

Toteż nic dziwnego ,że te wędrówki ptaków, więcej zwracały na siebie uwagę obserwatorów i miłośników przyrody, — niż np. wędrówki szarańczy i niektórych innych owadów, czy wędrówki łososi, węgorzy i śledzi, lub wreszcie wędrówki reniferów w poszukiwaniu za lepszą paszą.

Wędrówki ptaków są zjawiskiem tak rzucającem się w oczy i imponującem swemi rozmiarami, — że interesowały one badaczy już w starożytności: opisuje je pierwszy Arystoteles, mówi o nich i Plinjusz.

Obserwacje te były naturalnie dość powierzchowne, ograniczone tylko do powierzchownie znanych gatunków.

Co do niektórych innych — utrzymuje się przez całe wieki legenda o śnie zimowym ptaków, legenda pokutująca u nas jeszcze w dziewiętnastym wieku, — skoro np. taki wybitny i zasłużony ornitolog jak Kazimierz hr. Wodzicki (1816 — 1889) z całą powagą utrzymuje, że jaskółki niekiedy zimują na dnie jezior, przyczepiane do siebie wzajemnie pazurkami.

Pierwszym, który wprowadził metodę naukową do badań nad wędrówkami ptaków, był Rosjanin, A. T. Middendorf. Jego to pomysłem są t. zw. *„izopiptezy“*, linje wykreślane na mapie, biegnące mniejwięcej równolegle do siebie, a łączące ze sobą wszystkie miejscowości, do których ptaki przylatują na wiosnę równocześnie.

Od tego czasu badania, te, prowadzone systematycznie we wszystkich niemal krajach kulturalnych, przyniosły dużo ciekawego materjału na temat tych wędrówek. Poszczególne państwa założyły nawet specjalne stacje obserwacyjne, poświęcone zagadnieniom przelotu ptaków. Ze stacyj tych najwięcej znaną jest stacja w Rossitten, na mierzei Kurońskiej, — oraz druga na wyspie Helgoland.

U nas w Polsce isnieje od r. 1931 podobna stacja przy Muzeum Zoologicznem w Warszawie.

* * *

Kwestji wędrówek ptaków poświęca osobny rozdział dr. Jan Bogumił Sokołowski w pięknem wydawnictwie „Ptaki ziem polskich“, wychodzącem zeszytami, nakładem Ligi Ochrony Przyrody w Polsce, a z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej*).

Z dzieła tego czerpiemy też informacje o obecnym stanie badań nad wzmiankowanem powyżej zagadnieniem.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat zasób naszych wiadomości o wędrówkach ptaków powiększył się ogromnie, a to dzięki wprowadzeniu do badań nowej metody obrączkowania. Polega ona na tem, że schwytanym młodym lub starym ptakom zakłada się na nogi kie obrączki aluminjowe z umieszczonym na nich numerem bieżącym i adresem odnośnej stacji. Obrączka taka, znaleziona na ptaku zabitym, a odesłana do właściwej stacji, pozwala zorjentować się, w jakim kierunku ptak leciał i jaką odbył drogę.

Na ogół ptaki przyzwyczajają się do takich obrączek szybko, — z wyjątkiem gatunków, posiadających na nogach skórę cienką i delikatną.

* * *

Jakiemi drogami lecą nasze ptaki? Zasadniczo możnaby mówić o trzech wielkich szlakach. A parafrazując znane powiedzenie o wszystkich drogach prowadzonych do Rzymu, — można i tu powiedzieć, że te wszystkie szlaki wiodą ostatecznie do Afryki.

Pierwszy szlak wiedzie z Polski na południowy wschód ku Morzu Czarnemu, następnie przez Bałkan, Małą Azję, Palestynę do Egiptu i Afryki południowej.

Drugi — we wręcz przeciwnym początkowo kierunku, bo na zachód, — poprzez Niemcy, Francję, do Hiszpanji, a stamtąd do Afryki zachodniej, by wzdłuż gór Atlasu wieść do Afryki środkowej i południowej.

Trzeci szlak wreszcie prowadzi poprzez Karpaty do Czech, Austrji i Włoch, a stamtąd do Afryki północnej.

Jest rzeczą ciekawą, że ptaki należące do jednego gatunku wybierają niekiedy różne drogi przelotu, zależnie od miejsca ich gnieżdżenia się. Tak n. p. bociany gnieżdżące się w Europie wschodniej lecą szlakiem południowo-wschodnim, na Bosfor, gdy tymczasem bociany Europy środkowej i zachodniej lecą krótszą drogą na Hiszpanję.

Ciągi jesienne trwają znacznie dłużej, niż na wiosnę, kiedy to ptaki spieszą się w związku ze zbliżającą się porą lęgu.

Odbywają się one zarówno we dnie jak i nocą, zwłaszcza nocą lecą wszystkie ptaki małe.

* * *

Niemniej ciekawem jest zagadnienie szybkości lotu ptaków. Jeden ze starszych badaczy, Gaetke, utrzymywał, że nawet drobne ptaki przelatują przestrzeń między Europą północną a Algierem w ciągu jednej nocy. Dzięki metodzie obrączkowania zyskaliśmy pod tym względem dokładniejsze dane.

Pokazało się, że przestrzeń jaką ptak przelatuje w ciągu jednego dnia wynosi najwyżej 50 klm., a często i znacznie mniej.

Pewne światło na tę sprawę rzucają też doświadczenia przeprowadzone w roku 1934 przez R. Wojtusiaka w Mydlnikach pod Krakowem. Do doświadczeń użyto jaskółek dymówek, które po zaobrączkowaniu wywożono na odległość od 10 do 120 klm. od miejsca gnieżdżenia się. Pokazało się wówczas, że w miarę wzrostu odległości wzrasta też znacznie szybkość lotu, wyrażająca się przeciętnie 5 klm/godz. przy odległości 10 klm. 16 klm./godz. przy 45 klm., a 35 klm./godz. przy odległości 120 klm.

Pod tym względem stwierdzono bardzo jaskrawe różnice między zachowaniem się jaskółek a gołębi pocztowych. Te ostatnie bowiem wracają do gniazda stosunkowo szybciej z odległości bliższych, niż z dalszych. Czem to wytłómaczyć, — dotychczas nie wiadomo.

Do nieco odmiennych wniosków doszli natomiast dwaj badacze niemieccy Rüppel i Warnat, którzy przeprowadzali również doświadczenia na jaskółkach dymówkach i oknówkach. Ptaki te, wypuszczone z odległości 390 i 410 klm., wracały do gniazda z szybkośsią przeciętną 20—22 klm/godz. Cyfry te jednak przyjąć trzeba z dużem zastrzeżeniem, a to z uwagi na małą ilość ptaków użytych do tych doświadczeń.

* * *

O ile w dzisiejszym stanie wiedzy mamy już cały szereg konkretnych wiadomości co do szlaków wędrówek ptactwa, szybkości i wysokości lotu, oraz terminów od — i przylotu, — to jednak w najważniejszych zagadnieniach: orjentacji przestrzennej i kalendarzowej niemal regularności ciągów, zdani jesteśmy dotychczas tylko na hipotezy.

Zdolność orjentacji przestrzennej, jest niewątpliwie odziedziczonym instynktem.

Dzięki niemu nawet ptaki młode, lecące pojedyńczo, znajdują odrazu właściwą drogę i dolatują do celu.

Cenną też pomoc mają ptaki w swoim organie wzrokowym. Wedle najnowszych badań z dziedziny fizjologji oka ptasiego wiemy dziś, że ptak ma znacznie większy zasięg wzrokowy niż człowiek, — a nawet we mgle widzi znacznie lepiej od człowieka, dzięki pewnego rodzaju urządzeniu przepuszczającemu jak przez filtr żółty, jedynie promienie czerwone i żółte, przenikające przez mgłę.

Zagadnienie orjentacji przestrzennej czeka jednak jeszcze ciągle na zadowalniające rozwiązanie. W tym względzie prowadzi się liczne doświadczenia i badania w rozmaitych krajach, a również i w Polsce (Kazimierz Wodzicki i Roman Wojtusiak).

Ostatnio nabiera znów aktualności wysunięta przez Middenorfa teorja, iż ptaki posiadają wyczucie magnetyzmu ziemskiego, umożliwiające im orjentację. Teorja ta, przyjęta początkowo dość krytycznie, nabiera cech prawdopodobieństwa w związku z doświadczeniami, jakie robiono z gołębiami pocztowemi w pobliżu anten radjowych. Stwierdzono mianowicie, że fale elektro-magnetyczne wpływają ujemnie na zmysł orjentacyjny ptaków.

* * *

Taksamo zagadką jest dla nas kwestja regularności ciągów wiosennych i jesiennych. Instynkt odlotu stoi niewątpliwie w ścisłym związku z pewnemi wewnętrznemi procesami fizjologicznemi,, przedewszystkiem z cyklicznemi zmianami zachodzącemi w organach płciowych.

Że jest tak istotnie, dowiodły doświadczenia H. Wagnera i N. Rowana oraz ostatnio L. J. Cole'a. Zdaniem Rowana nie ciepłota ,lecz przedewszystkiem światło jest tym czynnikiem, który wywołuje silniejszą przemianę materji i wzmożoną ruchliwość, a w ślad za tem wędrówki ptaków, wypadające w okresie szczytowego rozwoju i zmian wstecznych w gruczołach płciowych. ,

Wszystko to jednak nie wystarcza do zadowalniającego wyjaśnienia na zasadnicze pytania: skąd wiedzą ptaki, że nadszedł czas odlotu i kto daje hasło do rozpoczęcia wędrówki.

* * *

Na zakończenie wracamy do Plinjusza: Oto znany ornitolog, Kazimierz Wodzicki, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wnuk cytowanego już przez nas równie głośnego ornitologa, w jednym z numerów *„Przyrody i techniki“* podaje w dosłownem polskiem tłómaczeniu ustęp z Plinjusza *Naturalis Historiae Liber X:*

> „Rycerz Cecina z Volaterra, posiadacz czwórki wyścigowej, wziął ze sobą jaskółki do Rzymu (odległość 220 klm.), by je stamtąd wypuścić. Ptaki miały przez powrót do miejscowości, w której znajdowały się ich gniazda, przynieść pierwszą wiadomość o zwycięstwie w wyścigu wozów, przyczem były zaznaczone barwą rycerza zwycięzcy“.

A zatem — *„nihil novi sub sole“*, — nawet w tej dziedzinie...

(kr.)

*) *Dr. Jan Sokołowski: „Ptaki ziem polskich“, Lwów, Księgarnia Polska B. Połonieckiego.*

Zburzenie Bastylji

Dzień zdobycia Bastylji, 14 lipca 1789, nazwał Kamil Desmoulins „pierwszym dniem pierwszego roku wolności“. Przez długie lata też utrzymywała się sztucznie wytworzona legenda o „zdobyciu Bastylji“, jako o akcie bohaterstwa ludu francuskiego, o akcie mającym epokowe znaczenie dla całej ludzkości.

Dzisiaj — w świetle objektywnych a krytycznych prac najwybitniejszych historyków francuskich, — sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej. Odarta z pięknych szatek romantyzmu historja „zdobycia „Bastylji“ wygląda dużo prozaiczniej i nie przynosi zgoła zaszczytu swym zdobywcom, — rekrutującym się, nawiasem mówiąc, w większości swej cudzoziemców i rozmaitych mętów społecznych.

Cała ta gromada „zdobywców“, licząca około tysiąc osób, dostała się do twierdzy złamawszy słowo honoru, dane komendantowi Bastylji, de Launey. Załoga twierdzy, stodwadzieścia kilka osób, została wymordowana w sposób okrutny. Zaczął się bezwzględny rabunek.

Wkrótce jednak rozeszły się wśród „zwycięzców“ niepokojące pogłoski, że Ludwik XVI zamierza odebrać Bastylię z powrotem. Znaleźli się nawet tchórze, którzy opowiadali, że Bastylja łączy się podziemnemi kurytarzami z Vincennes, że lada chwila mogą z kurytarzy tych wypaść żołnierze królewscy.... Wezwano inżynierów, którzy zbadali gruntownie cały budynek i na podstawie naoczni stwierdzili oficjalnie, że nie znaleźli żadnych podziemnych kryjówek ani przejść.

Pozostało jednak ogólne podniecenie wśród „zwycięzców“. Trzeba się zabezpieczyć przed ewentualnością jakichkolwiek zamachów... Nie oddamy Bastylji nikomu!.. Jak się najlepiej zabezpieczyć? To przecież bardzo proste: trzeba zburzyć to znienawidzone więzienie, „zbudowane z łez ludu“!

Tak nazywa emfatycznie Bastylję „patrjota“ Piotr Franciszek Palloy, sprytny przedsiębiorca budowlany, jeden ze „zdobywców“.

— Zburzenie Bastylji będzie naszem największem arcydziełem! — o

świadcza zebranym — i z miejsca zabiera się do dzieła.

* * *

Sprytna to była sztuka, ów „patrjota“ Palloy. W mig zorjentował się, że można zrobić wspaniały interes na tym olbrzymim bloku budowli pokrywającym powierzchnię 14550 metrów kwadratowych.

Toteż nie czekając na niczyje upoważnienie ani na rozpisanie konkursu, — sam sobie udziela urzędowe upoważnie do rozpoczęcia robót.

Znajdują się zaraz na miejscu ochotnicy, gotowi pracować bezpłatnie. Ale Palloy niechętnie korzysta z ich ofert. On już zawczasu sprowadził na miejsce całą kolumnę własnych robotników, uzbrojonych we wszystkie potrzebne narzędzia, łopaty, kilofy, taczki, szufle... To jego ludzie! Niech pracują! Oczywiście nie zadarmo! Już on przedłoży w swoim czasie rachunek komu należy.

I rzeczywiście zaczyna się robota. Nikt mu nie przeszkadza, nikt nie protestuje, — poza garstką zazdrosnych konkurentów, którzy także chcieliby się pożywić.

Ale ludzie Palloy'a, w liczbie jakichś 700 osób, już pozajmowali wszystkie posterunki. Nie dopuszczają nikogo. I oni — idąc za przykładem swego szefa — postanawiają korzystać z wyjątkowej sposobności. Myślą nie tyle o robocie, co o ubocznych zarobkach, do czego sposobności było bez liku.

Mieszkańcy Paryża bowiem odwiedzają tłumnie Bastylję, aby na własne oczy obejrzeć znienawidzone więzienie, o którem krążyły liczne legendy.

Oprowadza się ich zatem po całym gmachu, po basztach, po fosach, po zimnych wilgotnych celach podziemnych. Dla amatorów silnych wrażeń przewidziano coś sensacyjnego: za odpowiednią, wcale wysoką opłatą zamykano ich na jedną noc w podziemnej celi gdzie przeżywali godziny trwogi wśród pająków i kręcących się wszędzie szczurów.

Robotnikom, zresztą dobrze zupełnie przez Palloy'a opłacanym, smakują ogromnie te uboczne zarobki. Wymyślają coraz nowe źródła dochodu. Sprzedają swoje legitymacje robotnicze osobom obcym, pragnącym dostać się do wnętrza gmachu. Wynoszą na miasto i sprzedają jako „pamiątki“ stare żelaziwo, szczątki zbroi, wszystko co im podpadnie pod rękę.

* * *

Na tym punkcie idą zresztą w ślady swego przełożonego. Palloy uchodzić może bowiem słusznie za wynalazcę i twórcę specjalnej gałęzi przemysłu, który obecnie — zwłaszcza od czasów wojny światowej — święci tryumfy na całym świecie, przemysłu „pamiątkowego“.

Z materjału pochodzącego z rozbiórki wyrabia masowo rozmaite *„souvenirs du 14 Juilleet“:* medale, tabakierniczki, kałamarze, kubki do gry, domino, bonbonjerki....

Z kamieni sporządza minjaturowe modele Bastylji, które rozsyła wszystkim wybitnym osobistościom i instytucjom. Naturalnie nie zadarmo...

Interes kwitnie wspaniale. To, też ani jemu, ani jego robotnikom wcale się nie spieszy z ukończeniem robót.

* * *

Po jakichś dziewięciu miesiącach tej pracy Palloy oświadcza patetycznie:

— Bastylja zniknęła! Zdziwione oczy napróżno szukają miejsca, na którem wznosił się gmach łez!

Coprawda, ów „Gmach łez“ nie zniknął jeszcze: zamienił się w bezładną kupę gruzów, wśród której uwijają się pracowici robotnicy. Bo oni nie chcą ustąpić. Zasmakowali w tych łatwych zarobkach. I postawili na swojem: od-prawiono inżynierów, inspektorów, — ale pozostali robotnicy ze swym szefem Palloy'em.



Kolumna na placu Bastylji, udekorowana na na dzień święta narodowego, 14-go lipca 1935 r.

Wynajdują nowe atrakcje: urządzą się tam tańce, ognie sztuczne, pochody z muzyką....

Kiedy i to się już znudziło, — sięgają do silniejszych emocyj. Oto pewnego dnia wystawiają na widok publiczny... szkielet ludzki, rzekomo znaleziony gdzieś pod schodami piwnicy. Zbiegają się tłumy, by na własne oczy zobaczyć te „ofiary ohydnej tyranji“. Zachęcony powodzeniem, Palloy wynajduje dalsze trzy szkielety, którym urządza się wspaniały pogrzeb. Potem jeszcze inne, nawet Fouqueta, z jego słynną „maską żelazną“...

Wreszcie jednak wszystko się urwało: wyczerpała się inwencja przedsiębiorczego Palloy'a i jego ludzi, oraz łatwowierność Paryżan.

Palloy składa sprawozdanie królowi z dokonanego dzieła, wyrażając nadzieję że Ludwik XVI oceni odpowiednio jego usługi. A nie czekając na podziękowanie królewskie, — przedkłada miastu swój rachunek: 850 tysięcy liwrów.!

„Patrjota“ Palloy drogo sobie kazał zapłacić za zburzenie znienawidzonego „Gmachu Łez“.!..

(R.)

Z historji mieszczaństwa krakowskiego

Rodzina Morsztynów. — Jan Turzo, wielki przemysłowiec węgierski

Wieki średnie, — to okres największego rozkwitu Krakowa, to złoty wiek kupiectwa, które dzięki swej rzutności, energji i śmiałości zdobywa bardzo szerokie rynki zbytu, wykazując coraz silniejszą ekspanzję.

Z natury rzeczy najżywsze stosunki handlowe łączą Kraków ze sąsiednim Śląskiem i z Węgrami, zwłaszczą północnemi. Głównym artykułem eksportu do tych krajów była sól. Ile tej soli szło na Śląsk, — niepodobna określić. Że jednak handel tym artykułem musiał przybrać duże rozmiary, dowodzi choćby taki szczegół, że jedna droga wiodąca z Krakowa do Wrocławia miała nazwę „Solnej“.

Wzamian za to przychodziły do Krakowa ze Śląska wyroby przemysłowe, przedewszystkiem doskonałe sukna, — oraz słynne piwo świdnickie, cieszące się w Krakowie ogromną popularnością.

Drugim poważnym odbiorcą soli są Węgrzy północne, w szczególności Spiż, a handel tym artykułem koncentruje się w Koszycach. Królowie węgierscy niejednokrotnie próbują powstrzymywać, względnie zabronić zupełnie importu polskiej soli, — ale napróżno.

Natomiast Węgry dostarczają Polsce olbrzymie ilości miedzi, której główne kopalnie znajdowały się koło Koszyc, a której Polska zupełnie nie produkowała. I tu znów Kraków niejako monopolizuje handel tym artykułem ,wykorzystując swoje dogodne położenie geograficzne.

* * *

Jasną jest rzeczą, że te ożywione stosunki handlowe zachęcały przedsiębiorczych kupców zarówno ze Śląska jak z Węgier do osiedlania się w Krakowie i próbowania tam szczęścia. A to tem bardziej, że w średniowieczu Kraków — jak zresztą wszystkiem iasta polskie — nie posiadał własnego stanu kupieckiego, od którego szlachta stroniła, uważając sobie za dyshonor zajmowanie się handlem.

* * *

Jedną z takich rodzin, która doszła do wielkiego znaczenia i majątku, — byli Morsztynowie.

Przybyli prawdopodobnie ze Śląska: jeszcze w roku 1423 jeden z nich, Piotr, występuje jako Mornsteyn de Bytomia, gdzie też ma licznych krewnych.

Zaczynają od małego, prowadząc handel eksportowy i importowy ze Zachodem i Wschodem. W miarę, jak dzięki zapobiegliwości, sprytowi i odwadze (organizują karawany ciągnące na dziką Wołoszczyznę) porastają w piórka, — sprowadzają coraz więcej swych krewniaków.

Stopniowo zdobywają coraz większe wpływy i znaczenie wśród patrycjatu krakowskiego. Zakupują domy w Krakowie, ogrody, posiadłości wiejskie.

Z biegiem lat dzielą się na dwie linje, z których jedna, przyjmuje nazwisko Szwarców, spolszczone następnie na Czernych.

Druga linja zatrzymuje swe pierwotne nazwisko.

Przez długie lata uważają się za Niemców, czego dają wymowne dowody. Jeden z Morsztynów przecież, jako burmistrz miasta, — wbrew opinji większości rady miejskie i ogółu mieszkańców, nie chce za żadną cenę zgodzić się na to, by kościół Marjacki został oddany na nabożeństwa polskie dla ludności, zmuszonej dotychczas tłoczyć się w małym kościele św. Barbary!

Ale w wieku XVI. Morsztynowie ulegają zupełnej polonizacji, dzięki stosunkom i spokrewnieniu ze szlachtą polską i arystokracją. I oto, zresztą, uważają się sami za szlachtę, przyznając się do herbu Leliwa. A kiedy zaszła potrzeba, chętnie powołują się na swe szlacheckie pochodzenie, przedstawiając odnośny akt, datowany z roku 1492.

Z końcem XV. wieku Stanisław Morsztyn oddaje córkę swą Felicję za żonę Bonerowi, który bierze za nią piękne wiano, złożone z trzech kamienic i trzech domów drewnianych, — stając się dzięki temu małżeństwu odrazu człowiekiem bogatym i wpływowym.

* * *

Inny zupełnie typ wielkiego kupca-przemysłowca przedstawiał Jan Turzo, rodem z Lewoczy na Węgrzech, który w r. 1464 przyjął krakowskie prawo miejskie.

Pochodził ze znanej rodziny węgierskiej, której członkowie trudnili się oddawna handlem, ale nie obcem im było i rycerskie rzemiosło.

Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, władał pięcioma językami. W Krakowie poślubił córkę bogatego mieszczanina Bega, dostaje się do rady miejskiej.

Jest właścicielem wielkich kopalń miedzi, co przynosi mu ogromne dochody. Współczesny kronikarz mówi o nim, że „z każdym najbogatszym na świecie kupcem mógł iść w zawody“.

Te kopalnie węgierskie i związane z tem rozliczne interesy sprawiają, że Turzo rzadko tylko gości w Krakowie. Tutaj jednak zakłada główny skład swej miedzi i buduje nawet wielkie topnie, w których oddzielano od miedzi złoto i srebro, stanowiące jeden z pobocznych składników rudy. Topnie te, jak to opisuje Wapowski, „na kształt Etny buchały płomieniami“.

Rzutki i pełen śmiałej inicjatywy podejmuje Turzo i w Polsce poszukiwania za cennymi kruszcami: w Tatrach szuka srebra, — nie mamy jednak wiadomości, czy poszukiwania te przyniosły jakiś rezultat.

Rodzina Turzonów jednak nie zdołała się zaaklimatyzować w Polsce.

Po śmierci Jana w r. 1508 synowie jego wkrótce wycofują się z handlu. Jedni poświęcają się stanowi duchownemu, dochodząc do wysokich godności, inni rzucają się w wir polityki lub osiadają na swych rozległych dobrach.

Warto zaznaczyć, że jeden ze synów Jana, Aleksy, za wierną służbę Habsburgom otrzymał w dziedziczne posiadanie cały Spiż, który jednak z początkiem XVII. wieku, skutkiem wygaśnięcia męskich potomków rodu, przeszedł na żeńską linję Turzonów.

Z pośród przybyszów węgierskich, którzy osiedlili się w Krakowie w czasach średniowiecza, rodzina Turzonów zajmowała najwybitniejsze stanowisko, dzięki osobie Jana Turzona, człowieka naprawdę wyjątkowo zdolnego i przedsiębiorczego, jakiemu podobnych nie łatwo byłoby znaleźć w Polsce ówczesnej.

(n-y.)

Sztuka kinematograficzna na nowych drogach

Sztuka kinematograficzna przechodzi w chwili obecnej w wielu krajach przełomowy okres. Gdy dotychczas była ona pozostawiona samej sobie, względnie gdy stanowiła teren tylko geszefciarskich interesów, kosztem których spychano na plan dalszy szukanie właściwego dla tej sztuki wyrazu artystycznego, obecnie w wielu krajach następuje pod tym względem radykalna zmiana. Na drogę głębokich przemian weszła kinematografja włoska, niemiecka, i sowiecka w Europie, a ostatnio i w Stanach Zjednoczonych odzywają się głosy, domagające się reformy.

Na czem te przemiany polegają?

Dotychczas cała niemal produkcja filmowa świata pozostawała w rękach pewnych międzynarodowych koncernów. W Europie do czasu przewrotu hitlerowskiego centralą „branży" filmowej był Berlin, po przewrocie zaś kołom bojkutującym Niemcy hitlerowskie udało się przesunąć centralę do Paryża i Londynu.

Sztuka filmowa pozostająca pod kontrolą tych międzynarodowych central była i jest sztuką, kładącą główny nacisk na interes, na stronę finansową zagadnienia, natomiast strona estetyczna i moralna filmu, jego strona propagandowa i wychowawcza pozostawały, i pozostają na planie drugim.

Państwa europejskie, o których wspomnieliśmy wyżej, podejmując zagadnienie reorganizacji kinematografji, wysunęły przedewszystkiem hasło usamodzielnienia się od central międzynarodowych. Rezultatem takiego stanowiska jest unarodowienie się poszczególnych kinematografji, nabranie przez nie własnego oblicza i wprzęgnięcia się w służbę interesów państwa i narodu. Wbrew utartym komunałom to unarodowienie się kinematografji nietylko nie obniżyło jej wartości jako sztuki, a przeciwnie okazało się, że dopiero pod wpływem tego procesu poczyna się ona wznosić na poziom wyższy, zaczyna się stawać sztuką w całem tego słowa znaczeniu.

Przykładem najwymowniejszym, potwierdziającym powyższe twierdzenia są Niemcy. Gdy dawna przedhitlerowska produkcja filmowa stała przeciętnie bardzo nisko, to obecnie nastąpiło znaczne podniesienie przeciętnego poziomu. Miejsce dawnej tandety zajmują dziś filmy o treści pod względem kulturalnym znacznie pogłębionej, o większej staranności, o silniejszym, niż to miało miejsce dotychczas, położeniu nacisku na stronę artystyczną.

Oczywiście wszystkie te zmiany nie nastąpiły samorzutnie nie pomogłoby tu wiele i samo odżydzenie niemieckiej kinematografji, gdyby nie potrafiono stworzyć w tej dziedzinie pozytywnego programu i wprowadzić go w czyn. Powołane do życia ministerstwo propagandy z dr. Goebelsem na czele objęło swojemi wpływami i kinematografję.

Przy realizacji programu kierowano się tam zasadą, że film jak żadna inna sztuka podlega swoim własnym prawom i że wskutek tego musi zniknąć hegemonja sceny teatralnej nad filmem, przyczem film musi się wyzbyć płytkości i powierzchowności, wynikającej z chęci przystosowania się do gustu mas, nie tworząc równocześnie związku z narodem.

Pomijając przemiany, jakim uległa kinematografja sowjecka i włoska, warto jeszcze zwrócić uwagę na pewne zjawiska w Stanach Zjednoczonych, w kraju o największej produkcji filmowej, ale którego filmy są typowemi przykładami banalności i płytkości.

W jednym z numerów amerykańskiego czasopisma „Literatury Digest" czytamy ciekawe wiadomość o kryzysie, jaki przechodzi tamtejszy przemysł filmowy.

„Co się dzieje z nowoczesnym człowiekiem — zapytuje amerykański publicysta — czy nerwy stępiały, czy duch wysubtelniał? Dość, że tania sensacja filmowa w dotychczasowym stylu przestaje już działać."

Najwięksi reżyserzy świata Reinhardt, Cecil de Mille, John Barrymore, Carl Laemle — poszukują dla filmów głębszych, duchowych tematów. Tłumy pragną innych wstrząśnień niż dotychczas. Na zjeździe odbytym w Los Angelos przedstawiciele wielkich wytwórni filmowych „Universal Corporation", „Fox Film", „Lusley Corporation" — poważnie zastanawiali się, do jakich tematów należy dziś sięgnąć, aby zadowolić publiczność. Na zjeździe omawiano przedewszystkiem problem nowych zainteresowań ze strony publiczności kinowej.

„Film nowoczesny — głosi uchwała zjazdu — zaczyna wpadać w szablon. Koncepcje wyczerpują się. Musimy wydobyć nowe metody twórczości. Wydaje się jakoby duchowe problemy, a nawet religijne, ujęte w artystyczną formę, zaczynały pociągać masy.

Okazuje się, że dotychczas mógł zbudzić dreszcz zachwytu film, wykazujący apoteozę sprytu, zuchwalstwa. Te sensacje detektywne już się nie opłacają".

A dalej w tem samem czasopiśmie czytamy:

Naogół we wszystkich krajach, w których ostatnio następują poważne zmiany w kinematografji, podstawowem założeniem wszelkich reformistycznych dążności jest dążność do postawienia filmu na poziomie sztuki i to sztuki prawdziwej, a nie jak dotychczas tylko widowiska-rozrywki.

To podstawowe założenie, że film to także sztuka, wymaga od produkcji spełnienia tych postulatów, jakich wymaga się od dzieła artystycznego, składającego się z szeregu odmiennych i odrębnych składników. Wysuwa się więc odrazu na czoło zagadnienie sprawy harmonji między zmysłową postacią a odtwarzaną treścią. Dla filmu może jak dla żadnej innej sztuki sharmonizowanie poszczególnych składników, a więc tekstu literackiego, muzyki, fotografji i gry aktorów, staje się zagadnieniem artystycznem pierwszorzędnej doniosłości. Oczywiście zagadnienie to musi być rozwiązane przez kinematografję w sposób samodzielny.

Film to jednak nietylko sztuka, to także donosły czynnik współczesnego wychowania i nauki, a obok radja i najdonioślejszy czynnik propagandy. Podchodząc do niego z tego punktu widzenia można tu zająć dwojakie stanowisko:

Zapominając o tem, że film to sztuka, nie dążyć do sharmonizowania wartości wychowawczo-naukowych i propagandowych z wartościami natury artystycznej, a produkcji filmowej nadać piękno wybitnie propagandowe, tendencyjne. Oczywiście film taki może być doskonały pod względem fotografji i innych poszczególnych składników, ale położenie nacisku na tendencję, na tematykę propagandową, nadaje mu specjalne piętno, burzy harmonję całości w sensie wymogów estetyki. W tym kierunku poszła przedewszystkiem produkcja filmowa sowiecka i ta dysharmonja, niezależnie od poglądów na stronę polityczną tych filmów, musi razić.

W drugim wypadku stronę wychowawczo-naukową i propagandową filmu można potraktować jako charakterystyczną cechę sztuki filmowej, jako jej swoisty, a odróżniający ją od innych sztuk składnik, podobnie jak tekst literacki, muzykę, fotografję i grę aktorów i dążyć do harmonijnego złączenia tych wszystkich elementów. W tym kierunku idzie najnowsza produkcja filmowa niemiecka, której filmy kulturalne i propagandowe w zestawieniu z produkcją sowiecką są realizowane w sposób bez porównania kulturalniejszy, spokojniejszy i bardziej artystyczny.

Ale i w niemieckiej produkcji filmów rozrywkowych pozbawionych tendencji, widać nastawienie w pewnym kierunku: filmy te posiadają swoiste oblicze moralne. I w tym kierunku zdają się zmierzać próby reformy filmu amerykańskiego.

Śledząc te wszystkie przemiany, zmierzające do udzwignięcia filmu na poziom wyższy sztuki prawdziwej, wszyscy reformatorzy zdają się tu kierować tą starą zasadą, że największe wartości ogólnoludzkie mają sztuki narodowe. U nas, w naszej literaturze estetycznej, taką drogę wskazywał Cyprjan Norwid, pisząc, że zadaniem sztuki prawdziwej, wymaganiem estetyki narodowej jest „Podnoszenie Ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej Ludzkość całą, podnoszenie Ludowego do Ludzkości nie przez stosowania zewnętrzne i koncesje formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości..."

Niestety, żałować należy, że polska sztuka kinematograficzna stoi daleko od tych wszystkich przemian. Nic dziwnego, wszak żerują na niej elementy obce nam zupełnie, dla których wszelkie wskazania estetyki narodowej są wprost niedostępne.

Wielki miłośnik roślin

Nauka rosyjska poniosła znaczną stratę w związku ze śmiercią J. Miczuryna. Niedawno zmarły pionier w dziedzinie ogrodnictwa i sadownik urodził się 27 X. 1854 r. w gubernji Riazańskiej. Jeszcze będąc dzieckiem i spędzając czas na łonie natury, nieboszczyk bardzo się interesował życiem roślin. Opowiadają o wypadku, że kiedy Miczuryn miał zaledwie 4 lata, koniecznie chciał wziąć udział w siewach, lecz mu odmówiono. Wówczas młodociany siewca porwał ze stołu solniczkę i zasiał sól.

Taką niezwykłą miłość do natury i zainteresowanie nią zachował on do końca swego życia. W latach młodzieńczych klepał wielką biedę, gdyż będąc wydalony w 1870 r. z 6-ej klasy gimnazjum za niesubordynację względem dyrektora, zmuszony był do objęcia posady biuralisty za groszowem wynagrodzeniem.

Pomimo niesprzyjających warunków, kontynuował J. Miczuryn swe prace w dziedzinie sadownictwa. W 1888 r. spełniło się jego marzenie, mianowicie, objęcie przez niego dzierżawy sześciu dziesięcin ziemi, gdzie była urządzona pierwsza szkółka. Po kilku latach wyruszył już wykwalifikowany sadownik w podróż po Rosji środkowej i, przekonawszy się, że sadownictwo rosyjskie stoi na mylnych podstawach wziął się z całym zapałem do pracy.

Przewodnią jego myślą była hodowla najbardziej odpornych i przystosowanych do klimatu drzew owocowych. W 1912 r., zanim jeszcze sława o nim r[illegible]zechniła się w ojczyźnie, już amerykanie zaproponowali mu przesiedlenie się do Ameryki, ofiarowując mu 8.000 dolarów rocznej pensji, pokrycie wszystkich wydatków, oraz pomoc stu wykwalifikowanych pracowników. Jednakże, będąc w duszy patrjotą, nie przyjął ofiarowanych korzyści i nadal pozostał w ojczyźnie, pracując dla jej dobra. Drogą skrzyżowania odpowiednich gatunków udało mu się wyprowadzić cały szereg nowych odmian uodpornionych owoców., mających nadto udoskonalony smak. Tak naprzykład jego wiśnia „Księżna Północy" wytrzymuje 35 stopniowe mrozy i świetnie rozwija się w okolicach Omska, gdzie dotąd wszystkie wiśnie wymarzły. W obszarach Rosji środkowej, gdzie brakowało lepszych gatunków grusz, wyhodowano dzięki wskaźnikom Miczuryna, aż 12 odmian tego wspaniałego owocu.

Niestrudzony działacz na niwie sadownictwa Miczuryn, sprowadził z Mandżurji parę gatunków krzewów winogronowych, tak zwanych „aktynidji", udoskonalił je i przystosował do klimatu Rosji środkowej. Również aklimatyzował morele, dające obfite plony.

Miczurynowi udawało się krzyżowanie zupełnie odmiennych gatunków, jak naprzykład, gruszy z cytryną, jarzębiny z gruszą, brzoskwinię z migdałem, czeremchy z wiśnią, maliny z jeżyną i t. p. Ostatnie doświadczenia wywołały nawet żale i zarzuty ze strony zabobonnych ludzi, którzy uważali podobne postępowanie jako sprzeczne z prawami natury.

Jednak praca człowieka, który wytwarzał nowe odmiany owoców, była oceniona według zasług jeszcze za jego życia. W r. 1921. został założony specjalny ogród pomologiczny w b. klasztorze św. Trójcy. Po 10 latach, został urządzony eksperymentalny instytut owocowo - jagodowych kultur imienia Miczuryna. Zaś w 1932 r. miasto Kozłow, gdzie tenże rozpoczął swoją działalność, zostało przemianowane na Miczuryńsk.

WITRAZE

Projekt witrażu. — Dobieranie kolorów szkła. — Wypalanie. — Rodzaje szkła. Trawienie. — Początki sztuki witrażowej. — Mehoffer, Wyspiański

Gdzieś z ponad chóru, od światła, aż po mroczne stropy świątyń, zaklęte szkło w tęczę, rzuca snopami światła kompozycją po przez witraże, harmonją barw spływające w szary półmrok. Jakże potężna w sobie i niezgłębiona wizja, — przepiękny, o silnej ekspresji witraż Stanisława Wyspiańskiego „Bóg-Ojciec“ w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie i wiele, wiele innych, zdobiących nasze kościoły, wnętrza i t. d.

Patrząc na witraż, nie zdajemy sobie sprawy, ile trudu, ile pracy włożono w to, co artysta wyraża w projekcie, by z niego przenieść wszystko na szkło i to bez najmniejszych braków, a zwłaszcza w kolorach.

Niżej podaję, jak wygląda cała praca, związana z witrażem, a więc od projektu, aż do wysłania gotowego witrażu na miejsce przeznaczenia.

* * *

Przed wykonaniem witrażu musi powstać szkic, kolorowy, lub nie, jeśli jest barwny ułatwia pracę przy wyborze kolorów szkła (szkic podług skali). Według szkicu projektodawca lub witrażysta robi naturalnej wielkości rysunek, ewentualnie kolorując go. Z oryginału kopjuje się ogólne zarysy na kalce przeźroczystej, z kalki odbija się na papierze szablonowym, podkładając niebieską kalkę. — Szklarz, ewentualnie sam autor, specjalnym nożem do szablonów wycina poszczególne części; po wycięciu szablonów układa się je na przeźroczystej kalce na miejscach oznaczonych, o ile z drobiazgowych części witraż jest złożony (części tych może być tysiąc i więcej).

Przeważnie sam autor projektu wybiera w próbkach numerowanego szkła, kolory. Następnie szklarze djamentem krają szkło według szablonów, wycięte układa się na kalce białej wraz z szablonami. Zasadniczo szkło jest kolorowe, jednak daje mu się powłokę patyny (farba mineralna ziemna), twarze, fałdy na szatach, ozdoby są wpierw konturowane i, po wykonturowaniu wszystko razem przymocowuje się plasteliną na grubej tafli szkła, osadzonej w ramach w formie sztalugi, nalepiając pod światło, celem sprawdzenia, czy kolory są dobrane podług szkicu, ewent. oryginału. W razie braków zmienia się kolory, gdy np. nie można wyszukać w zapasach szkła żądanego koloru, dobiera się w ten sposób, że podkłada się podwójne szkło, jak to np. widzimy od strony zewnętrznej w witrażu Mehoffera w kaplicy Świętokrzyskiej w katedrze na Wawelu. Po uzgodnieniu kolorów przeciąga się to wszystko powłoką patyny.

Następnie sposobem retuszerskim wydobywa się światło, gdy światła są wydobyte w patynie, witraż skrapia się naftą zapomocą rozpylacza, o ile zachodzi potrzeba cieni głębszych, załamań i t. d., cieniuje się olejną farbą zastosowaną do szkła. Chcąc np. wydobyć karnację ciała, musi się trzy, cztery razy malować i tyleż za każdym razem wypalać w piecu. Te części, które są konturowane, patynowane, cieniowane, idą do pieca w celu utrwalenia farby, która się wtapia w szkło. Piece są gazowe, na węgiel i drzewo.

Szkło, które wkłada się do pieca, musi być hermetycznie zamknięte w mufli żelaznej, wypala się je kilka godzin, a nawet cały dzień. Po wygaszeniu pieca, szkło stygnie w nim przez całą noc. Zdarza się, że szkło w piecu źle się wypali lub nawet pęknie i daną część trzeba poprawiać, a nawet całkiem przerobić. — Z pieca wypalone szkła układamy powtórnie na kalce i idzie ono do oprawiania w ołów, poszczególne części łączy się ołowiem spajając go cyną.

Muszę zaznaczyć, że witraż o ile jest dużych rozmiarów, składa się z tak zwanych pól. Pomiędzy każdem polem muszą być żelazne szyny, do których przymocowujemy poszczególne pola. Robi się to dlatego, że w razie rozbicia jakiejś części, nie przerabia się całego witrażu, lecz wyjmuje się tylko tę, która uległa zniszczeniu. Każde z pól witrażu po oprawieniu w ołów i cynę, kituje się i czyści trocinami (kit wraz z trocinami, wchodząc w szczeliny między szkłem, a ołowiem uszczelnia je i wzmacnia po wyschnięciu).

Gotowy witraż pakuje się w deski, owijając dobrze słomą, wysyłając na miejsce przeznaczenia, gdzie monterzy osadzają witraż w poziomo biegnące szyny, cementując go w obwodzie muru. Przy witrażach zachodzi ewentualność, iż niektóre gatunki szkła zmieniają się w piecu, ciemnieją lub jaśnieją, a nawet pękają, niewytrzymując temperatury. Szkło w piecach w suchej destylacji poprostu praży się aż do czerwoności, wypalając szkło, musi się uważać, by go nie przepalić. Szkła średniowieczne (antyczne) wytrzymują wyższą temperaturę, a szkła t. zw. katedralne (gorszy gatunek) niższą, podobnie, jak opalowe i amerykańskie. Szkła opalowe należą do drogich i dobrych gatunków, w wyższej temperaturze zmieniają się, ciemniejąc.

Szkieł antycznych mamy kilka gatunków: tafle szkła są jednolitego koloru i są też takie gatunki, które mają dwie powłoki koloru na sobie, np. szkło zasadniczo białe ma na sobie powłokę czerwoną, białą, różową, zieloną i t. d. Z szkła antycznego mającego kolorowe powłoki, można wydobywać rozmaite światła i desenie przy pomocy trawienia kwasem fluorowodorowym, który wygryza pierwszą powłokę, dając nam żądany cień, światło lub deseń. Posługując się kwasem fluorowodorowym, musi się wdziewać maski na twarz, a na ręce rękawice izolacyjne gumowe. Kwas ten przegryza szkło, kamień, beton, a przechowywany jest w ołowianych lub kauczukowych kadziach. Chcąc wydobywać na kawałkach szkła, światła lub deseń, to części te, które nie mają być trawione kwasem, pokrywa się asfaltem, woskiem lub parafiną, miejsca trawione zmywa się często wodą, trawi się dotąd, dopóki zachodzi potrzeba, co może trwać parę minut, godzin, lub dni, zależne od gatunku szkła i trwałości powłoki. Kwasu tego używa się tylko do szkła antycznego.



Szkło, jak i farby sprowadza się z Francji, Niemiec, Czech, gdyż szkła nasze pod względem wartości są niższe. Szkła z naszych fabryk używa się przeważnie do robót tańszych. Jeśli chodzi o gatunki szkła antycznego, francuskiego i niemieckiego, to należą one do bardzo drogich.

Nasuwa się pytanie od jak dawna znane są witraże? Wiele wskazuje na to, że szkło kolorowe używane było równocześnie ze szkłem białem już w VI. wieku. W IX. stuleciu znano witraż, lecz niezmano malowania na szkle. Początki tej sztuki znajdujemy we Francji. Największy rozkwit tej sztuki, to wczesne średniowiecze aż do XVI wieku, a z końcem tegoż zaczęła ona upadać. Wiek XIX., to znowu rozkwit.

W Polsce od przeszło 30 lat posiadamy własnych witrażystów, którzy nauczyli się tej sztuki od zagranicznych mistrzów, sprowadzonych do Polski. Jeszcze na tem miejscu muszę zaznaczyć, że społeczeństwo nasze początkowo nieuznawało polskich autorów projektów kartonów witrażowych i dopiero Wyspiański, Mehoffer uznani przez zagranicę, odwrócili oczy od tejże. Na konkursie światowym na witraże do katedry fryburskiej, Mehoffer otrzymuje pierwszą nagrodę, — odkąd to jego witraże zdobią potężną nawę gotyckiej świątyni, — a to okna z św. Janem, Piotrem, Jakóbem, Andrzejem i inne.

Od tego czasu rozjaśnia się droga na Parnasie polskiej sztuki witrażowej, a więc po przez zagranicę, zrozumienie i poznanie u nas.

A. H.



Witraż w kościele św. Wita, Praga

Owady a ludzie

Obecna epoka nosi nazwę okresu opanowania natury i stworzeń przez człowieka, jako najbardziej udoskonalonego typu biologicznego. Jednak w miarę rozwoju wiedzy i nauki powstaje wątpliwość co do słuszności tej wypowiedzianej tezy. Przy szczegółowem porównaniu z innymi przedstawicielami świata organicznego, okazuje się, że człowiek wcale nie jest istotą udoskonaloną, przystosowaną do warunków bytowania i idealnie zorganizowaną. Przeciwnie, z wieloma stworzeniami prowadzi on walkę, poważną i uporczywą, o hegemonię nad światem, rezultaty której są jeszcze niepewne.

Najbardziej niebezpiecznymi i potężnymi współzawodnikami człowieka w tej walce są najskromniejsze i na pierwszy rzut oka nędzne stworzenia, ostatni przedstawiciele świata zwierzęcego — owady. Siła tych istot żyjących tkwi nietylko w ich liczbie, przewyższającej wszelką wyobraźnię, lecz w rzeczywistej udoskonalonej organizacji, bez porównania lepiej przystosowanej do walki o byt, niż organizm człowieka.

Pierwsze bezprzecznie ślady owadów na naszej planecie odnoszą się do tak zwanej epoki węgla kamiennego, oddalonej od nas, mniej więcej o 40 miljonów lat. Według tejże rachuby, człowiek zjawił się dopiero 400 tysięcy lat temu. Za czas istnienia człowieka na ziemi zmieniło się nie więcej jak 25.000 pokoleń, zaś za ten sam okres czasu, owady dały 3 miljony pokoleń. Jeżeli zaś liczyć od epoki węgla kamiennego, to ilość generacji osiągnie liczbę 300 miljonów. Jest to rezultat szybkości rozmnożenia i ewolucji tych tworów natury.

Podobnie szerokie możliwości stworzyły udoskonalone typy biologiczne, które pozostały bez zmian w ciągu miljonów lat. Karaluchy epoki węgla kamiennego mało czem się różnią od współczesnych, będąc tym sposobem najbardziej starożytnymi i arystokratycznymi przedstawicielami państwa zwierzęcego. Teraźniejsze gatunki komarów i mrówek można spotkać w warstwach skalnych epoki

trzeciorzędu. Wogóle trzeba zaznaczyć, że z 12.000 gatunków skamieniałych owadów dotąd zniknęła tylko 1/3 część.

Wśród kręgowców panowała tendencja nie tylko ku specjalizowaniu swej organizacji, lecz i zwiększaniu przez cały czas swych rozmiarów. Taka tendencja, jaskrawo przejawiająca się w walce między zwierzętami trawożernyymi, a drapieżnikmi, okazała się dla większości z żyjących stworzeń zgubną. Kolosy świata zwierzęcego albo już wymarły, albo są na wymarciu. Owady zaś, jak wykazuje rosyjski uczony Czetwierikow, wybrały inne tory. Mianowicie, ich gigantyczne formy, z epoki węgla kamiennego, mające 1 metr długości, wymarły, i odtąd ewolucja owadów kieruje się w stronę skarłowacenia, wytwarzając coraz mniejsze lecz jednocześnie wysoko rozwinięte gatunki.

Istnieje również inna, nie mniej ważna różnica między ewolucją kręgowców i owadów. Pierwsze wytworzyły wewnętrzny szkielet, zaopatrzony w muskuły, drugie zaś — szkielet zewnętrzny, który, jako futerał, pokrywa wszystkie muskuły i organy wewnętrzne. Na substancję tego zewnętrznego szkieletu, tak zwanego „chitin", nie działają ani kwasy, ani alkaloidy. Nie jest też kruchy, jak kość z biegiem czasu; oprócz tego jest znacznie lżejszy i bardziej elastyczny od kości.

Chitin składa się z różnych azotowych i cukrowych substancji, znajdujących się poddostatkiem w przyrodzie, podczas kiedy szkielet ludzki składa się głównie z fosforu i wapnia. Dlatego też człowiek jest znacznie wybredniejszy w wyborze pożywienia, aby znaleźć odpowiedni materjał na budowę szkieletu. Powłoka z chitinu chroni i broni najbardziej życiodajne organy owadów od zewnętrznych uszkodzeń; nadto stanowi lepszą podporę dla wewnętrznej muskulatury z punktu widzenia biologicznego. Gdyby człowiek posiadał siłę owadów i robactwa, mógłby w stosunku do swego wzrostu łatwo robić skoki do 200 metrów.

W procesie ewolucji człowiek doszedł do wynalezienia narzędzi, skutkiem czego powstała cała cywilizacja. W istocie, narzędzia są swego rodzaju przedłużeniem i wzmocnieniem organów ciała ludzkiego. Owady i robaki narzędzi nie wynalazły, lecz swe wewnętrzne organy przeistoczyły w najdoskonalsze narzędzia. Ich łapki przeznaczone są nie tylko dla lokomocji, lecz jednocześnie używane są jako wiosła, szpadle, świdry, noże, nożyce, kleszcze, kosze i t. p., przyczem różne pary nóżek wykonują różne funkcje. — Jeszcze więcej jest udoskonalona wewnętrzna struktura owadów. Centralny system nerwowy nie jest ześrodkowany, jak u ludzi, w głowie, lecz rozmieszczony jest po całem ciele. Zamiast centralnych organów oddechowych, u owadów biegną po całem ciele specjalne rurki oddechowe. Wreszcie, zastępujący u owadów serce — organ, tak zwane naczynie „Dorsalne", przenika wzdłuż całego ciała. Dlatego też uszkodzenia najistotniejszych organów nie powodują śmierci owadów. Te ostatnie w najmniejszym stopniu ze wszystkich stworzeń skłonne są do chorób.

Ta biologiczna przewaga owadów najlepiej ujawnia się w metodach pożywienia. Znaczna większość owadów żywi się roślinami. Ciekawe, że naprzykład jedno drzewo jabłoni służy na pokarm dla 500 gatunków owadów. Tysiące gatunków pożerają się wzajemnie, a niektóre żywią się nawet człowiekiem. Do tej kategorji należą tak zwane pasorzyty. — Większa część robaków żyje w gruncie, żywiąc się humusem, inne zaś gatunki przebywają w wodzie, polując na mikroskopijne organizmy. Na różnorodne menu owadów i robactwa składają się nie tylko wszystkie produkty pożywienia człowieka, wliczając pieprz i musztardę, lecz także tytoń, opium, belladona, mięta, odzież, obuwie, książki, obrazy, banknoty i t. p. Specjalny gatunek muszki przebywa w wodzie słonych jezior gdzie nie istnieje żadne życie organiczne, inny znów gatunek gnieździ się w salinach, trzeci zaś obrał za swoją siedzibę źródła naftowe i z czem się tam żywi — pozostaje zagadką. Termity, zamieszkałe w zupełnie suchych pniach drzewa, gdzie nie mogą korzystać ani z wody, ani z substancyj azotowych, niezbędnych dla każdego organizmu, widocznie nauczyły się, przy pomocy skomplikowanych bio-chemicznych procesów, wydobywać potrzebny dla siebie pokarm wprost z powietrza. — Wreszcie, owady pożerają niezmiernie szybko ogromne zapasy pożywienia, np. jedwabnik w ciągu dnia zjada ilość liści, która dwa razy przeważa wagę jego ciała. Trawienie pokarmu następuje u owadów bezpośrednio po spożyciu.

Ilości owadów na kuli ziemskiej nie da się obliczyć. Natomiast gatunków ich jest około 4 miljonów. Rozmnażanie ich odbywa się niezwykle szybko i wprost nieprawdopodobnych ilościach. Zwykła mucha może dać w ciągu lata potomstwo, sięgające około 720 miljonów egzemplarzy.

Owadom nie znane są ani lata dziecinne, ani starość. Po wylęganiu prawie od razu rozpoczynają żywot samodzielny. Wielka ilość gatunków rozmnaża się bez udziału samców, niektóre zaś gatunki tylko dlatego zjawiają się na świat, aby wydać potomstwo. Są też gatunki, które w swojem krótkiem życiu nie widziały nigdy słońca, gdyż wylęgają się i giną między zachodem, a wschodem słońca. Istnieją gatunki, u których poczwarki składają jajka.

Owady żyją w różnych temperaturach: pewne gatunki (jak prostoskrzydłe) przebywają w polarnych mchach, przy temperaturze 0 stopni, inne zaś dobrze się czują w gorących źródłach, gdzie woda dochodzi do 70 stopni. Wszystkie organy zmysłów, za wyjątkiem organów widzenia, rozwinięte są u owadów lepiej, niż u człowieka. Co się zaś tyczy właściwości intelektualnych, to znany uczony Lebbock uważa, że owady posiadają wysoko rozwinięty rozum, lecz niektórzy uczeni tłumaczą wszystkie zjawiska, jako przejawy instynktu lub skutki refleksów mechanicznych.

Maeterlinck w swojej książce „Życie mrówek" twierdzi, że mrówki są niezwykle szlachetnemi i odważnemi istotami, przejętemi uczuciami obowiązku, miłosierdzia i altruizmu. Stworzony przez nich kolektywny organizm, nadługo przed zjawieniem się człowieka na ziemi, jest dowodem wysoko rozwiniętego rozumu, czy też instynktu. Wreszcie, natura zaopatrzyła owady w niezwykle mocną broń w walce o byt, mianowicie mimikrę, t. j. możność zmiany zabarwienia i swego zewnętrznego wyglądu, stosownie do otaczającej przyrody.

Zjawienie się człowieka na ziemi spowodowało zaginięcie olbrzymiej ilości gatunków stworzeń, lecz nie przeszkodziło owadom w wykorzystaniu zapasów pożywienia, zgromadzonych przez ludzi. — Rozwój środków lokomocji umożliwił dostanie się owadów do takich obszarów, które przedtem były dla nich niedostępne. Naprzykład na wyspach Hawajskich moskity zjawiły się razem z misjonarzami. Mucha hesseńska znalazła się w Ameryce razem z żołnierzami armji hesseńskiej podczas walki Anglji ze swymi posiadłościami w Ameryce Północnej. Zkolei nowy świat wynagrodził Europę filokserą, niszczącą winnice i mrówkami argentyńskiemi, które niedawno nawiedziły stolice europejskie.

Reasumując wszystkie powyższe fakty, p. Howard, dyrektor centralnego biura entomologicznego w Stanach Zjednoczonych, wnioskuje, że z punktu widzenia biologicznego, owady są istotami, najbardziej dostosowanemi do przebywania na naszej planecie. Stworzenia te napewno będą istnieć i wówczas, kiedy z powodu niesprzyjających warunków fizyczno-geograficznych znikną wyższe typy państwa zwierzęcego.

Już obecnie istoty te prowadzą potworną walkę z człowiekiem, a jako rezultat tego wzmagania można wskazać na fakt, że tylko w Stanach Zjednoczonych, szkody, wyrządzone przez owady w rolnictwie, sięgają rocznie kolosalnej sumy do 2 miljardów dolarów.

I. K.

Smierć na skrzydłach lotniczych

Gwałtowny rozwój komunikacji lotniczej postawił hygjenistów przed całym szeregiem nowych, piekących zagadnień. I tutaj, jak w każdym niemal analogicznym wypadku, sprawdzą się stara maksyma, iż każda nowa zdobycz nauki i wiedzy ludzkiej, stanowiąca dobrodziejstwo dla ludzkości, może stać się równocześnie jej przekleństwem i najgroźniejszym wrogiem.

O ile idzie o komunikację lotniczą, trzeba pamiętać o jednem: im bardziej usprawniamy komunikację, im szybciej podróżujemy, tem bardziej zwiększa się niebezpieczeństwo rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych.

A niebezpieczeństwa te zagrażają nie na jednym, lecz na kilku frontach!

Przypomnijmy sobie, jak n. p. wyglądały niegdyś epidemje cholery czy dżumy. Trzeba było z reguły całych miesięcy, zanim ta groźna epidemja dostała się ze swej azjatyckiej kolebki do krajów europejskich, roznoszona przez wędrowców, pątników, czy karawany czy wreszcie przez żeglarzy, którzy na swych okrętach żaglowych odbywali długie podróże.

Z chwilą pojawienia się parowców i kolei żelaznej — niebezpieczeństwo infekcji wzrosło oczywiście znacznie. Okazało się koniecznem wprowadzenie kwarantanny dla podróżnych przybywających z Dalekiego Wschodu lądem czy morzem, — a zarządzenia te sprawiły, że dziś, kiedy znamy już dokładnie etjologię wszystkich epidemij, jesteśmy też przed niemi należycie zabezpieczeni.

* * *

Tożsamo dotyczy i komunikacji lotniczej. W wielkich portach lotniczych, leżących na szlaku Zachód—Wschód, przeprowadza się obowiązkowo inspekcję sanitarną podróżnych, a w wypadkach podejrzanych, władze mają prawo zatrzymać pasażera i poddać go przez jakiś czas obserwacji.

Tego rodzaju stacje sanitarne kontrolne istnieją np. w Port-Said, w Damaszku, w Bagdadzie, w Karachi, w Suezie.

Jak dotychczas, taka kontrola sanitarna okazała się zupełnie wystarczającą. Samolot jest bowiem środkiem komunikacji stosunkowo jeszcze ciągle bardzo drogim. Korzystają z niego ludzie dobrze sytuowani finansowo, a temsamem obeznani z zasadami hygjeny i przestrzegający tych zasad.

Nie ulega jednak wątpliwości, że z czasem samolot stanie się również popularnym i tanim środkiem komunikacyjnym, jak kolej, — że podróżować nim będą ludzie należący do innych warstw społecznych, a mający o hygjenie bardzo słabe pojęcie.

Wówczas okażą się stosowane dotychczas środki kontrolne i zapobiegawcze niewystarczającemi, — a niebezpieczeństwo epidemji wstanie znów w całej grozie.

* * *

Pamiętać też trzeba o jednem jeszcze: oto każda choroba zakaźna ma pewien okres inkubacji, podczas którego jest trudną, jeśli nie wręcz niemożliwą do rozpoznania. Okres ten wynosi przeciętnie przy ospie 8 — 14 dni, przy cholerze 5 — 6 dni, przy dżumie 6 — 8 dni, przy żółtej febrze 2 — 5 dni.

Niebezpieczeństwo jest tutaj tem groźniejsze, że i sam chory w pierwszych dniach nie zdaje sobie zupełnie sprawy ze swego istotnego stanu, a początkowo brak jest wszelkich objawów, charakteryzujących daną chorobę.

Weźmy teraz pod uwagę te długie raidy nadpowietrzne, te loty z Europy do Ameryki, czy na krańce Azji, uskuteczniane nieraz tylko dla pobicia rekordu, — a zrozumiemy łatwo, że już w obecnym stanie rzeczy obowiązujące zarządzenia sanitarne nie mogą dawać pełnego bezpieczeństwa.

* * *

Ale idźmy dalej. Niedawno temu zrobiono w Ameryce ciekawy eksperyment: oto komary „załadowane" na samolot na Antylach, odbyły bez żadnej widocznej szkody podróż aż do Miami, znosząc zupełnie dobrze podróż nawet na wysokości 4.000 metrów.

Innym znów razem stwierdzono na Florydzie obecność komarów, które „przybyły" tam samolotem aż z Porto-Rico.

Były to komary zupełnie niewinne i nieszkodliwe. Coby się jednak stało, gdyby ślepemi pasażerami samolotu były komary z gatunku „Stegomyja fasciata", będące, jak wiadomo, roznosicielami zabójczej żółtej febry?

Coprawda, owady te żyją tylko w krajach wilgotnych tropikalnych, ale mogą stać się roznosicielami groźnej epidemji dzięki samolotom kursującym np. między Afryką i Ameryką środkową.

Dlatego „Panamerican Airways" wprowadziło na swych linjach lotniczych specjalne waporyzatory, zapomocą których desynfekuje się każdy samolot przed odlotem i po przybyciu na miejsce przeznaczenia.

Wreszcie liczyć się trzeba z jeszcze jednym groźnym wrogiem człowieka: ze szczurami, które — jak wiadomo — są roznosicielami dżumy.

Podobnie jak stały się one prawdziwą plagą okrętów, — mogą one dostawać się pokryjomu na pokład wielkich samolotów pasażerskich i w ten sposób przebywać ogromne przestrzenie.

* * *

Wszystkie te okoliczności muszą być brane pod uwagę. Faktycznie też stanowią one od pewnego czasu przedmiot studjów i ankiet, — czego wymownym wyrazem były zeszłoroczne obrady specjalnej międzynarodowej Komisji w Hadze, która opracowała i uzupełniła odpowiednio międzynarodowy kodeks sanitarny.

Jest do przewidzenia, że kodeks ten wymagać będzie dalszych zmian i modyfikacyj, w miarę coraz silniejszego rozwoju komunikacji lotniczej.

(dr. L.)

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Ulubionym motywem dekoracyjnym paryskich mistrzów mody są obecnie kwiaty. Więc materjały imprime w desenie kwiatowe, czy całe bukieciki np. pachnącego groszku.

Desenie te wycina się z materjału i naszywa się osobno we formie aplikacji na pelerynkach, narzutkach itp. Teżsame kwiaty wycięte służą też do przyozdobienia kapelusza.

— Plisowania są nadal bardzo modne: plisuje się kokardy, kieszenie, kołnierze, rękawy, nawet całe pelerynki.

— Bardzo oryginalnie wyglądają trykotowe kostjumy kąpielowe, naszywane gęsto pailletkami, co nadaje kobiecie wygląd jakiejś bajecznej syreny, błyszczącej się w słońcu wszystkiemi barwami tęczy. Czy jednak kostjumy te pokażą się praktyczne w noszeniu, — to wielkie pytanie.

— Pantofelki sportowe robi się ze skóry renifera w kolorze bronzowym. To w tej chwili wygląda najbardziej dystyngowanie Do sukni wieczorowej również reniferowe, ale białe.

— Coś dla pań, które w lutym do futra nosiły kapelusiki... z cieniutkiej słomki: oto w Paryżu już pojawiły się kapelusze aksamitne, akurat taksamo harmonizujące się z letnią sukienką, przy 30 stop. w cieniu!

— Kostjumy kąpielowe przeważnie jednobarwne, z grubej wełny. Kolory jasne. Pyjamy zniknęły niemal zupełnie, ustępując miejsca praktyczniejszym sukienkom plażowym, prostym w kroju, a odpowiedniejszym dla wielu pań, które w spodniach nie prezentują się bez zarzutu.

— Wieczorowe suknie, letnie odznaczają się brakiem świecących ozdób. Cały ich urok polega na nienagannym kroju i umiejętnem połączeniu dwóch różnych materjałów, jak np. jedwabiu z koronką, muślinu z faille, tafty z tiulem itp.

Najulubieńszym materjałem na nie jest tafta deseniowa.

— Fantazyjne monogramy haftowane zdobią gors, szarfy, kokardy, nawet kapelusze i torebki paryskich elegantek.

— Do skromnej sukienki, w której wychodzimy na ulicę, za sprawunkami, na spacer lub do pracy, — nosi się wygodne sandałki, które dziś zupełnie już nie rażą nawet i w mieście.



Higienistki przyrodolecznicze

„Pierwsze w Polsce dwuletnie Kursy Przyrodolecznicze dla pomocniczego personelu lekarskiego" założone są z inicjatywy p. dyr. Iny Kisielewskiej. O potrzebie szkolenia takiego personelu wypowiadały się nieraz Zjazdy Lekarskie. Wykłady prowadzi 20 lekarzy, wybitnych specjalistów, z kierownikiem naukowym na czele.

Higienistki otrzymują wiedzę z podstawowych wiadomości medycznych i specjalizują się w działach przyrodolecznictwa: wodo-światło-elektro-lecznictwie, mechanoterapji, Roentgenie, oraz dietetyce. Ćwiczenia odbywają w doskonale urządzonych szpitalach: Centr. Wyszk. Sanitar. (Ujazdowskim) i im. Marsz. J. Piłsudskiego (Mokotowskim), oraz przodujących uzdrowisk.

Uruchomienie kursów jest jeszcze jednym triumfem polskiej myśli twórczej, nawet na forum międzynarodowem, ponieważ tego typu zakładu naukowego brak nawet zagranicą. Jest to nowe pole pracy zawodowej o wielkiej przyszłości.

O kursach, które posiadają wzorowy lokal, pomoce naukowe, internat i t. d. informuje Sekretarjat Kursów Przyrodoleczniczych dyr I. Kisielewskiej i dr. med. M. Biernackiej w Warszawie, Szopena 16.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Kąpiele powietrzne

Za mało może zwracamy uwagi i nie doceniamy należycie wielkiej wartości kąpieli powietrznych. A są one znakomitym środkiem hartującym cały organizm, — a co ważniejsze, dostępnym dla wszystkich, zarówno na letnisku czy na plaży, jak i w mieście.

Można je urządzać u siebie w mieszkaniu, bez żadnych specjalnych przygotowań. Wymagają przytem niewiele czasu: kilka czy kilkanaście minut rano i wieczorem.

Najlepiej rozpocząć je w lecie, by przyzwyczaić skórę wydelikaconą i osłanianą stale ubraniem, do działania świeżego powietrza. A więc skoro tylko wstaniemy, zrzucamy nocną bieliznę i robimy zwykłą codzienną toaletę nago. To samo wieczorem, przed udaniem się na spoczynek.

Początkowo wystarczy parę minut skoro zaś skóra się przyzwyczai, przedłużamy tę kąpiel stopniowo. — Jest to doskonały środek hartujący, zabezpieczający nas przed katarami, przeziębieniami, wypryskami itp. drobnemi, a niemiłemi dolegliwościami.

Aplikując kąpiele powietrzne systematycznie, co dnia, dojdziemy z łatwością do tego, że będziemy mogły nawet w zimie korzystać z nich, przy otwartem na parę minut oknie.

Mam lat 32...

Na pewnem zebraniu w Plymouth, lady Astor, zapytana niedyskretnie o wiek, oświadczyła:

„Mam lat 32 już od dłuższego czasu i długo jeszcze zamierzam trzymać się tego wieku, uważam go bowiem za najdogodniejszy pod każdym względem dla każdej kobiety".

Przypuszczalnie angielskie ladies zgodzą się chętnie na tę oryginalną bądź co bądź rachubę wieku...



Biały garniturek jest najmilszem przybraniem każdej, choćby najskromniejszej ciemnej sukienki, nadając jej akcent świeży i wesoły.

Podajemy powyżej kilka oryginalnych pomysłów.

1) Koronkowy kołnierzy z żabotem 2) mała riuszka z organdi, 3) biały płócienny plastron z ażurowym deseniem, 4) duża pikowa kokarda, 5) kwadratowy kołnierzyk ze wstążką związaną w kokardę o końcach opadających swobodnie w dół.

Poradnik dla gosposi

JAK PRZYRZĄDZAĆ SMARDZE

Wyborne te i najwcześniejsze grzyby są rzadko spożywane, ponieważ smardze niewiele osób zna i umie zużytkować. Grzyby te, pofałdowane fantastycznie, są biało-bronzowego koloru i pojawiają się zwykle już w maju. Są wodniste i dość kruche, więc nie trzeba ich zbyt długo płókać i zbyt drobno krajać.

1 kg. smardzy, 1 szklanka śmietany, 8 deka masła, 5 deka pszennej mąki, 2 cebule, pieprzu i soli do smaku.

Pokrajać smardze, szybko, wypłókać i obsączyć na druszlaku, wrzucić na gotującą się wodę, przez minutę gotować, odstawić (aby resztki ziemi opadły na dno) i po chwili wybrać łyżką durszlakową. Cebulę pokrajać i usmażyć na maśle, nie rumieniąc. Wrzucić smardze, podlać trochę wody i dusić pod przykryciem 20 minut, pod koniec soląc i pieprząc. Mąkę rozbić ze śmietaną, zaprawić grzyby, poddusić przez krótki czas i podać z ziemniakami lub kluskami.

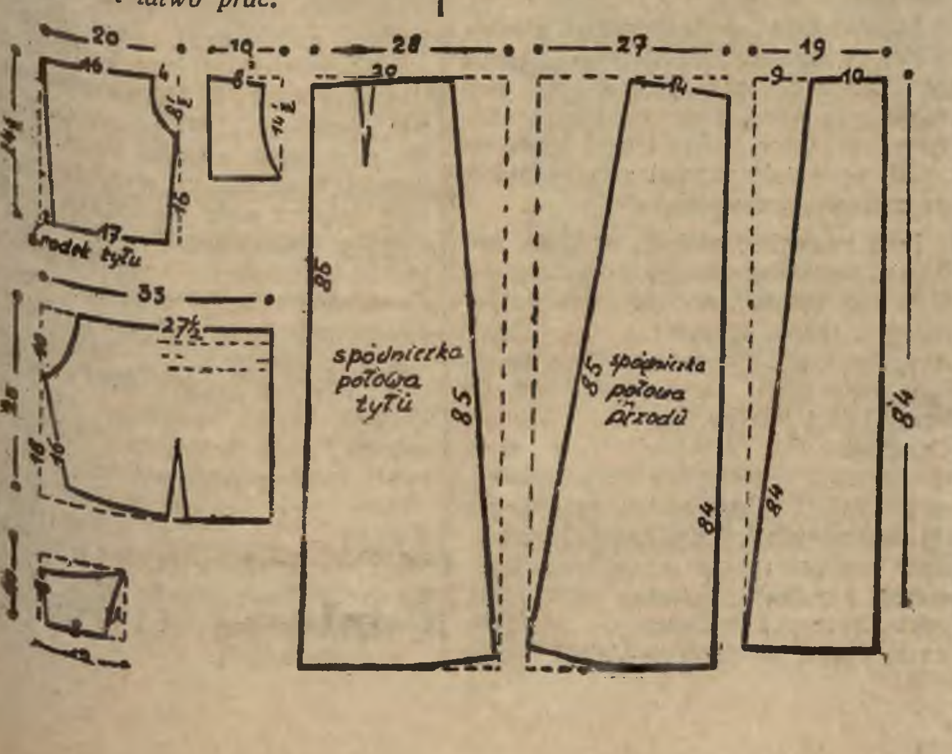
Letnia sukienka bez rękawów

Po uporczywych słotach lipcowych spodziewać się należy ciepłych, słonecznych dni, — na które przyda się nam taka skromna, a szykowna letnia sukienka. Potrzeba na nią 3 i pół mtr. materjału szerokości 0,80 do 1 mtr. Najodpowiedniejszą będzie biała pika, płócienko lub popelina, — materjały dające się dobrze i łatwo prać.

Spódniczka ma sześć brytów: cztery sprzodu, dwa z tyłu.

Staniczek sprzodu zmarszczony, - można zrobić sześć do ośmiu zwyczajnych zmarszczeń, albo też zgrupować je w tak zwane „nid d'abeilles".

Pasek skórzany, albo z tego samego materjału, odpowiednio pikowanego





Z WYDAWNICTW

„*Dziecko i matka*", nr. 13, lipcowy Aktualny temat racjonalnego wypoczynku, z korzyścią równą dla dzieci jak dla rodziców, porusza p. W. Dobrzańska w artykule „*Na letnisku*". Dużo trafnych uwag i obserwacyj przynosi artykuł p. Benisławskiej o „*Rodzeństwie*". Mniej natomiast przemawia do przekonania polskich czytelników artykuł „*Dzieci rozumują*", oparty na książce sowieckiego pisarza Czukowskiego: inna, odrębna jest psychika dziecka sowieckiego, wychowywanego od pierwszych chwil życia w atmosferze zupełnego ateizmu — i nie można tych rzeczy generalizować.

W dziedzinie hygieny zwracają uwagę artykuły o *surowych jarzynach i mleku* dla niemowląt.

Zeszyt uzupełniają modele ubranek na plażę, oraz wierszyk „*Wiatr od morza*".

Jeden na dwadzieścia...

Ostatniemi dniami wyczytałem w jednym z dzienników czeskich krótką kronikarską notatkę:

„W ostatnich miesiącach liczba radjoabonentów w Czechosłowacji wzrosła tak znacznie, że obecnie przekracza już 750.000. Biorąc pod uwagę ogólną liczbę ludności, 15 miljonów, — oznacza to, że jeden odbiornik wypada na dwudziestu mieszkańców".

Jeden odbiornik na dwudziestu mieszkańców, — u naszego najbliższego sąsiada, który znów pod względem kultury, uprzemysłowienia i bogactwa narodowego tak bardzo od nas chyba się nie różni!

Przeglądam często prasę czeską, oraz wychodzące w Czechosłowacji dzienniki w języku niemieckim i słowackim. Nie zauważyłem nigdy, by prasa ta prowadziła jakąś specjalną, intensywną propagandę radjową. Mniej lub więcej dokładne i obszerne programy radjowe, — to właściwie wszystko.

A jednak radjo stało się tam naprawdę „artykułem pierwszej potrzeby" również popularnym jak książka czy kino!

U nas inaczej!... Obserwuje się coprawda i u nas silny, stały wzrost radjoabonentów: przekroczyliśmy już cyfrę 400 tysięcy. Ale procentowo wygląda to tak, że jeden radjoaparat wypada u nas na 80 mieszkańców. A więc prawie cztery razy mniej, niż w Czechosłowacji!

Do kierownictwa Polskiego Radja nie można mieć absolutnie żadnej pretensji za ten zastydzający nas stan rzeczy. Programy, utrzymane na wysokim poziomie, wytrzymują w pełni konkurencję nietylko z Czechosłowacją, ale i z większemi, zasobniejszemi radjostacjami krajów zachodnich. Cały aparat funkcjonuje nad wyraz sprawnie, — personel starannie dobrany, odpowiednio wyszkolony.

Nie szczędzi się też wydatków na racjonalną propagandę. A jednak — rozwój radjofonji naszej posuwa się naprawdę żółwim krokiem.

Nie wątpię, że sprawa ta stanowi poważną troskę kół kierujących. Można też spodziewać się, że z chwilą przejścia radja w ręce rządu sprawie tej poświęcona będzie specjalna uwaga

Bo co było możliwe u naszych sąsiadów, to napewno da się osiągnąć i u nas, — przy odpowiedniem podejściu do zagadnienia.

Mówiło się ostatnio o zamierzonem obniżeniu abonamentu do kwoty zł 2,— miesięcznie. Trudno w tej sprawie zabierać głos laikowi, — mam jednak wrażenie, że tego rodzaju obniżka byłaby naprawdę pierwszym poważnym krokiem na drodze do spopularyzowania radjofonji. Bo jednak nasze radjo, — w dzisiejszych warunkach — jest za drogie. W stosunku do zubożałego społeczeństwa trzeba tu mierzyć „zamiary według sił", — trzeba się liczyć z realnemi warunkami.

I tu chciałbym przypomnieć poruszaną już wielokrotnie sprawę: różniczkowania abonamentu, a w szczególności obniżenia opłat od detektorowych aparatów. Kto może sobie pozwolić na jakąś super - super - heterodynę i ustawić wspaniały aparat w mahoniowej skrzynce w swym salonie, — ten znajdzie i trzy złote miesięcznie na opłatę abonamentu.

Ale te tysiące prawdziwych miłośników radja, co kosztem nieraz groszowych oszczędności zbudują sobie wreszcie skromny detektor, — powinny być inaczej traktowane. Obniżyć im abonament, a napewno przybędą tysiące nowych słuchaczy, — a w tym samym stosunku zmaleją zastępy... radjopajęczarzy, których „gros" rekrutuje się spośród ludzi, nie mogących zdobyć się na wydatek 3 zł. miesięcznie.

Sprawa ma się tu podobnie, jak ze słynnemi zapalniczkami przemycanemi.. Obniżyć odpowiednio opłaty skarbowe, a dziesiątki tysięcy posiadaczy takich zapalniczek dobrowolnie zgłosi je do ostemplowania.

Więc może jednak warto spróbować?...

(Lucy)

Sylwetka pioniera egzotyki
w Polskiem Radjo

W łańcuchu długich, szarych, deszczowych dni, zajaśniał jeden słoneczny upalny, roześmiany pogodą, rozpędzony życiem, błękitny niebem, jaskrawy kwiatami. Przyszedł jak wszystko co miłe — nieoczekiwanie. I przyniósł ze sobą dalekie wspomnienie palącego *żaru* słońca, bujności życia, woni lasów, puszcz, splątanych lian, szumu morza, obcych twarzy, dziwnych nieznanych pieśni, czynów dzikich zuchwałych i krwawych, to znów bohaterskich i wzniosłych. Przyniósł ze sobą wspomnienie *egzotyki*, podróży *podzwrotnikowych*, przygód groźnych i dziwnych, wspomnienie tego, co nam zasiedziałym w miejscu szczurom lądowym, wydaje się prawie baśnią z tysiąca i jednej nocy.

Takich egzotycznych a prawdziwych baśni słuchaliśmy przez pewien czas co tygodnia. Opowiadał je w radjo — *Bohdan Pawłowicz*. Większość z nich oparta była na jego własnych, autentycznych przeżyciach i doświadczeniach; dodawało im to tem większego uroku bezpośredniości i sugestywności. Ta sugestja działała na słuchających: zdawało się nam, że wraz z autorem wędrowaliśmy po dusznych, rozpalonych ulicach miast Ameryki Południowej, od *skalistych Andów* do szumiącego Atlantyku. Przemierzaliśmy szybkim krokiem te przestrzenie, by okólną drogą odbytą na często niewygodnym pokładzie pierwszego nadarzonego okrętu, znaleźć się w *Meksiko* i podziwiać nowoczesne imponujące swą wielkością budowle, stojące *na gruzach państwa Azteków*, stokroć bardziej zasługującego na nasz podziw. Obce nazwy, artystyczne impresje, fakty historyczne, gorące południowe piosenki, mieszały się razem, przetwarzając się w *musujący coctail*, o palącym smaku podzwrotnikowego słońca.

Potem przez parę miesięcy jakoś wogóle nie stykaliśmy się z nazwiskiem Pawłowicza w programach radjowych. Aż wreszcie w połowie kwietnia dowiedzieliśmy się, że w miejsce udającego się na trzy miesiące do warszawskiej centrali dyr. Petry'ego, ma — na ten czas — zostać kierownikiem lwowskiej rozgłośni „znany podróżnik, prelegent i literat — *Bohdan Pawłowicz*".

Do osoby nowego dyrektora lwowianie ustosunkowali się wyczekująco. Ale szybko, bardzo szybko, bo po pierwszej *„skrzynce programowej"* lody zostały przełamane. Dyr. Pawłowicz okazał się nie tylko wytrawnym literatem, świetnym essaistą i poetą, lecz i *zdolnym organizatorem, sprężystym kierownikiem*, a pozatem nad wyraz *sympatycznym człowiekiem*, umiejącym znaleźć drogę do gorących, lwowskich serc. A łatwem to nie było, bo przed mikrofonem stał człowiek nic nie wiedzący o ludziach, którzy go słuchali, gdy tymczasem ta niewidoczna, bezimienna rzesza *milczących Ypsylonów* wiedziała, że głos wpadający w jej uszy, należy do autora licznych audycyj radjowych, wysoce wartościowych książek i poezyj. Trud szukania tej drogi wspólnego porozumienia, opłacił się jednak znakomicie: trzymiesięczny blisko pobyt dyr. Pawłowicza we Lwowie upłynął w zgodnej współpracy z radjosłuchaczami. Umieli oni ocenić *świeże, nieniszczalne wartości*, wniesione przez tego entuzjastę *ruchu i życia*, jego zapał do pracy i wiedzy i — powiew egzotyczności, urozmaicający jednostajność szarzyzny powszedniej.

Trzy miesiące upływają bardzo prędko. Od 1-szego sierpnia Bohdan Pawłowicz wraca do Warszawy, by w najbliższej przyszłości objąć stanowisko *naczelnego dyrektora łódzkiej rozgłośni*. Stanowisko to — tak zaszczytne i odpowiedzialne — traktowane już nie jako przejściowe i paromiesięczne, da dyr. Pawłowiczowi większe możliwości wykorzystania swej energji i doświadczenia, pozwalając na rozwinięcie szerzej, celowej i planowej inicjatywy.

Przeto żegnając dyr. Pawłowicza, życzymy mu dalszych sukcesów na polu reorganizacji radja, wyrażając ze swej strony głębokie zadowolenie, że w ciągu tych paru miesięcy, tak pięknie *rozwinęła się* przyjaźń lwowian z *„chytrym Żmudzinem"*, jak się on sam nazwał w jednej z pierwszych pogadanek. Wszystko pozwala sądzić, iż przyjaźń ta utrwaliła się na zawsze.

Irena Nałęcz.

Od reportażu do feljetonów

Harcerski zlot w *Spale* interesuje całe polskie społeczeństwo. Tak już jest, że młodzieńcza buńczuczność, humor, karność, a głównie i przedewszystkiem *piękna harcerska idea*, przyciągają ku sobie ludzi, nic wspólnego z tym zlotem nie mających. Moment ten przewidziało Polskie Radjo, instytucja starająca się o dostarczenie swym odbiorcom rzeczy świeżych, aktualnych. W tej myśli radjo warszawskie wysłało do Spały ekipę swych reporterów i współpracowników, których zadaniem było informowanie słuchaczy o *ciekawszych fragmentach* i zdarzeniach życia harcerskiego. Transmisyj takich przeprowadzono już kilka, czy nawet kilkanaście, niestety z powodu braku czasu nie mogłem ich słuchać. Przeto z tem większem zaciekawieniem siadłem pewnego dnia do aparatu, zgóry się ciesząc, że *„Reportaż z wystawy harcerskiej"* wprowadzi mnie w samo serce obozu i da mi możność zorjentowania się w dokonanej pracy harcerskiej.

Gorzej trafić nie mogłem. Pan prze prowadzający ten reportaż, nie zadał sobie nawet trudu uprzedniego przygotowania się do niego. Według niedawno przyjętej nomenklatury *„reportażem"* nazywa się audycję wcześniej opracowaną, a *odczytywaną* przed mikrofonem. Tymczasem wspomniany „Reportaż z wystawy" wygłaszany był tak chaotycznie, nieskładnie i ogólnikowo, że raczej zasługiwaćby mógł na nazwę *doraźnie improwizowanej* transmisji. Po prostu niczego nie reprezentował: wiadomości o celach pracy harcerskiej, znane są wszystkim choćby z prasy codziennej. Że harcerze ginęli w obronie Ojczyzny, o tem jeszcze też pamiętamy. A wiadomości o kolejności sal wystawy, czy zapewnienia, że eksponaty (w tym wypadku — tablice) są „naprawdę bardzo pięknie wykonane" to, jak na audycję radjową — *chyba za mało!* W ten sposób wcale się nie zachęca słuchaczy do interesowania się — na odległość — przebiegiem zlotu i — w bliskości — do słuchania podobnych reportaży. Przynajmniej co do mnie, to miałem dość wszelkich innych transmisyj ze Spały. Przyznać jednak muszę że słyszałem zdania, iż taka np. transmisja „Ogniska harcerek" a potem i „Harcerzy" miała wypaść bardzo dobrze.

Zdaje się jednak, że to wina „sezonu ogórkowego" iż niektóre audycje obniżyły swój poziom. Bo i dział słuchowiskowy nie może się pochwalić niczem specjalnem. Weźmy np. słuchowisko „Sąsiedzi"; jest to typowa produkcja sezonu letniego: dobry pomysł, znacznie gorsze przygotowanie, opracowanie i wykonanie techniczne. A szkoda, — bo przy staranniejszej obróbce literackiej i technicznej, mogliby „Sąsiedzi" stać się naprawdę *dobrem, humorystycznem* słuchowiskiem. Nie wiem, czemu wesołe słuchowiska są u nas przygotowywane dość niedbale i z mniejszym nakładem uwagi, a to specjalnie w sezonie ogórkowym. Takie traktowanie sprawy uważam za niesłuszne, bo w wielu wypadkach sukces jakiejś audycji, zależy tylko od jej *przygotowania*. — Już drugie słuchowisko, węgierski żart Stefana Zagona pt. *„Kryzys"* przedstawiał się pod wielu względami *znacznie lepiej*. Satyryczny humor, dobre tempo i świetne typki, pozwalały patrzeć z pobłażaniem na szwankujące wykonanie.

Inna natomiast audycja w całej pełni nie zawiodła naszego oczekiwania. Była nią 104-ta *„Wesoła lwowska fala"* tym razem egzotyczna pt. *„Gdzie pieprz rośnie"*. Pomysł wysłania wesołych, lwowskich „rozgłośnych" hen, do brazylijskiej Parany, udał się doskonale Oryginalne tło, przypominające nieco okolice raju z „Podróży tempomobilem w przeszłość", było świetnym tematem do dowcipnych djalogów. Zwłaszcza *dwie pierwsze* pogwarki, a to p. Babciocha z polskim kolonistą w Brazylji, oraz Szczepka z Tońkiem, zasługują na specjalne wyróżnienie dzięki swemu *humorowi i wykonaniu*. Bardzo dobre przeplatanie żywego śpiewu płytą gramofonową, dopełniało tej miłej całości.

Dwa, ciekawe feljetony krajoznawcze, słyszeliśmy nadane tylko w zasięgu lwowskim. Pierwszy z nich to *Jadwigi Getterowej „Pińsk — stolica Polesia"*. W barwnych, niemalże błyskotliwych słowach opisywała nam autorka to miasto, nazwane przez siebie *„Wenecją poleską"*. W krótkich rysach zaznaczywszy historję Pińska leżącego wśród tak dziwnego kraju, jakim jest Polesie, przedstawiła nam obraz dzisiejszego miasta i jego życia w odrodzonej Polsce. — Drugim feljetonem *był „Miechów" Michaliny Grekowicz*. W innej zupełnie części Polski, na północ od Krakowa, na wyżynie małopolskiej leży to małe miasteczko Miechów, sięgając swemi początkami XII-go wieku, dziś posiada trzy wielkie pamiątki, — wspomnienia. Pierwsza z nich, to dawny pokolegjacki *kościół Bożogrobowców;* drugie — to historja krwawej bitwy powstańców 1863 roku z Moskalami. Trzecie wreszcie, to pamięć pobytu i walk Legjonów Polskich w r. 1914. Dziś dzięki stacji kolejowej, powstałej przy nowowybudowanej linji Kraków — Warszawa, możliwości rozwoju miasteczka wybitnie wzrosły. — Bardzo ciekawe oba te feljetony opracowane były starannie i wypowiedziane z należytą swadą.

r. R.